

ważnych, a do tej pory rzadko w Łodzi wykonywanych. W programie zostaną też wszystkie ważne cykle koncertowe (w tym transmisje z Metropolitan Opera w Nowym Jorku) oraz festiwale, uzupełnione o koncerty chopinowskie z racji jubileuszu roku 2010. Choć w kalendarzu imprez jakby nieco luźniej niż w ubiegłym roku, melomani nie będą mogli narzekać na niedostatek wrażeń – muzyka w Filharmonii Łódzkiej będzie rozbrzmiewała kilka razy w tygodniu, a wśród wykonawców pojawiają się gwiazdy światowego formatu. Przekonał o tym już pierwszy miesiąc nowego sezonu.

Rozpoczęto 8 września, czyli jeszcze przed oficjalną inauguracją, otwierając cykl *Muzyka kameralna* z udziałem tria fortepianowego w składzie Kaja Danczowska (skrzypce), Bartosz Koziak (wiolonczela) i Justyna Danczowska. Koncert nie odbył się, jak należało przypuszczać, w sali kameralnej, zajętej przez instalację Georga Nussbaumera *Barkarola – interpassywne fortepiany i miasto, które brzmi*, zrealizowaną w ramach Festiwalu Dialogu Czterech Kultur – lecz w głównym audytorium, co odbiło się niekorzystnie zarówno na brzmieniu, jak atmosferze całego występu.

W programie znalazły się trzy dzieła wielkich kameralistów: *Trio fortepianowe H-dur op. 8* Brahmsa, *Trio G-dur Hob. XV/25* Haydna i *Trio d-moll op. 49* Mendelssohna. Artyści grali bardzo elegancko, przedkładając pierwiastek liryczny nad wybujałą ekspresję. Ciekawie ujęli utwory Haydna i Mendelssohna – w pierwszym uwagę przyciągnęło szczególnie delikatne i rozmarzone *Poco adagio*, w drugim figlarne *Scherzo*, i niczym ze *Snu nocy letniej*. W częściach o znacznie większym natężeniu i zróżnicowaniu ekspresji zabrakło jednak pełni interpretacji: brzmienie ansamblu było nazbyt stonowane, niekiedy też zachwiane w proporcjach – zbyt ciche skrzypce i wiolonczela ginęły w donośnych tonach fortepianu. Z tego też względu *Trio* Brahmsa nie przemówiło z pożądaną siłą wyrazu, a słynnemu *Scherzu*, prócz dynamiki, zabrakło też żywiołowości w odcinkach skrajnych. Kształtowaniu muzyki nie przysłużyła się kubatura sali koncertowej, w której dźwięk zgubił kameralną klarowność – w mniejszym wnętrzu propozycje zespołu zyskałyby na pewno na wyrazistości.

Nie mam natomiast zastrzeżeń do precyzji gry i wzajemnego zrozumienia wykonawców. Pod tym względem koncert był dobrym przykładem inteligentnego, wrażliwego muzykowania kameralistów.

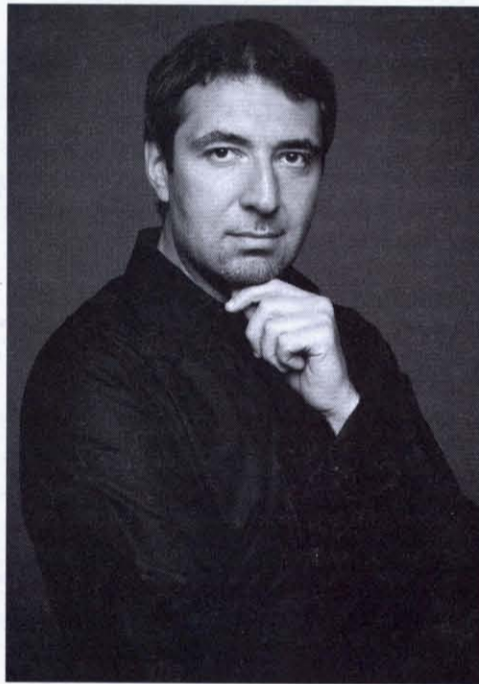
Oficjalna inauguracja nowego sezonu nastąpiła dopiero 11 września, z udziałem orkiestry symfonicznej łódzkich filharmoników pod dyrekcją Daniela Raiskina. W zapowiedziach uwagę zwracało bodaj pierwsze w Łodzi wykonanie *Symfonii alpejskiej* Ryszarda Straussa, które poprzedzić miał popularny *Koncert skrzypcowy e-moll* Mendelssohna

W utworze Mendelssohna trudno zaskoczyć publiczność – trzeba go

Wrzesień łódzkich inauguracji

Kolejny sezon w Filharmonii Łódzkiej i kolejne zmiany. Najważniejsza to z pewnością objęcie funkcji dyrektora naczelnego i artystycznego przez Lecha Dzierżanowskiego, wcześniej zastępcy Andrzeja Sułka, który zrezygnował przed wakacjami z pełnienia obu tych stanowisk. Rzut oka na tegoroczny program potwierdza, że nowy dyrektor, przynajmniej w tym sezonie, będzie kontynuatorem linii wyznaczonej przez poprzednika. To dobrze, bo wprowadzone i realizowane przez ostatnie dwa lata przedsięwzięcia ukształtowały nowe, atrakcyjne dla melomanów, rozpoznawalne nie tylko w Łodzi i regionie oblicze Filharmonii im. Rubinsteina. Teraz wszystkie będą miały szansę okrzepnąć, udoskonalić się i ewentualnie twórczo rozwinąć; pojawiają się zapewne nowe, będące już efektem indywidualnych zabiegów Dzierżanowskiego oraz podlegającego mu zespołu.

Na afiszu melomani odnajdą więc przede wszystkim wieczory symfoniczne, w których przygotowanie znacznie większy wkład będzie miał dyrygent-szef orkiestry Daniel Raiskin; poprowadzi on dziesięć koncertów, skupiając się na dziełach



DANIEL RAISKIN

po prostu pięknie zagrać, czystym, nasyconym dźwiękiem, wrażliwie kształtując frazę i wydobywając zawartą w nim subtelną aurę uczuciową. Niemiecki skrzypek Benjamin Schmid nie do końca sprostął temu zadaniu. Choć imponująco wypadł we fragmentach technicznych, to jednak w jego grze brakowało nieco romantycznej głębi, a niekiedy także typowego dla stylu Mendelssohna ciepła i słodyczy; zdarzały mu się również wyraźne potknięcia intonacyjne. Z jego występu o wiele lepiej będę wspominał wykonaną na bis *Passacaglię* Bibera. Interpretacja dotarła do głębi muzycznego przesłania, a choć figuracje i ornamenty odbiegały nieco od istoty stylu barokowego, to jednak znać było w grze skrzypka inwencję

i osobne podejście do utworu. Warto w tym miejscu dodać, że improwizowanie – i to w zgoła odmiennej estetyce – jest mu bardzo bliskie, czemu dał wyraz nazajutrz, występując ze swym zespołem Benjamin Schmid Jazz Trio.

Monumentalna muzyka *Symfonii alpejskiej* Straussa jest szczególnie bliska odbiorcom, którzy zasmakowali opisanych w niej przeżyć – górskiej wędrowki i wspinaczki od świtu do zmierzchu, zaznali jej uroków, a zarazem dreszczu emocji, wreszcie wysiłku, wynagrodzonego radością z osiągniętego celu. Raiskin i łódzcy filharmonicy, występujący tego dnia w znacznie poszerzonym składzie, przygotowali tę symfonię-poemat bardzo skrupulatnie, z dbałością zarówno o całość, jak najdrobniejsze detale, które warunkują nastrój kolejnych obrazów.

Dreszczu emocji dostarczył już sam początek utworu – tajemnicza wizja *Nocy*, prawdziwie błyskotliwy *Wschód słońca* i energiczne *Podejście*. Ładnie pod względem malarskim przedstawiono części *Przy wodospadzie* i *Nahali*. Pewien niedosyt zostawiła *Cisza przed burzą* – nie dość niepokojąca i surowa w swej groźnej zapowiedzi. *Burza* była natomiast w pełni zaciekła i złowroga, szkoda tylko, że nie udało się wykonawcom odtworzyć niezwykłego, fantastycznie uchwyconego przez Straussa, trzostopniowego uderzenia piorunów w skaliste szczyty. Napięcie skumulowane w tych odcinkach znalazło sugestywne rozwiązanie w *Zachodzie słońca* i *Epilogu*, po którym muzyka znów pograżyła się w nocnym mroku. Słuchając dźwięku elektrycznych organów w pieśni żegnającej gasnący dzień z żalem patrzyłem na puste miejsca dla piszczałek wciąż niezbudowanego instrumentu w głębi estrady – była to jedna z tych chwil, kiedy brak prawdziwych organów w Filharmonii dał się odczuć boleśnie.

Wykonawcom należą się słowa uznania za interpretację tak trudnego utworu. Raiskin poprowadził je pewnie, czytelnie podążając ze wskazanym programem, dobrze rozkładał akcenty, budował kulminacje, wydobywał ekspresję i dawał odpocząć słuchaczom w chwilach refleksji. Orkiestra grała z wielkim zaangażowaniem, przez większość utworu z dużą precyzją, kreując wiele pięknych fragmentów, rozpoznawalnych i wzruszających dla każdego, kto zna smak górskiej



Kronos Quartet

wyprawy. Pod koniec dało się jednak odczuć pewne rozprężenie, a może zwykle zmęczenie niemal godzinnym graniem: pojawiły się niedokładności w stawianiu akordów, kiksy i uciekająca intonacja w grupie dętej. Wykonanie *Alpejskiej* uznaję jednak za wydarzenie, o wiele ciekawsze dla bywalców niż kolejne interpretacje ogranych dzieł ze ścisłego kanonu.

Z wysokiego pułapu – za sprawą Kronos Quartet – wystartował 15 września kolejny cykl Filharmonii Łódzkiej *contem.ucha*. Pomysł Małgorzaty Cnoty, sprowadzający się w skrócie do prezentacji muzyki współczesnej w najrozmaitszej postaci, przyjął się w ubiegłym sezonie – bardzo dobrze więc się stało, że i w tym go nie zabrakło w ofercie.

Kronos Quartet to marka rozpoznawalna na całym świecie, najsłynniejszy bodaj zespół kameralny, mający swoich zwolenników także wśród odbiorców spoza kręgu miłośników klasyki. Jest wśród nich wielu młodych ludzi, których trudno spotkać na „poważnych” koncertach, a przynoszących ze sobą do filharmonii styl bycia bliższy spotkaniu klubowym. David Harrington, John Sherba, Hank Dutt i Jeffrey Zeigler z pełną świadomością funkcjonują w obszarze estetyki postmodernistycznej, proponując muzykę wielokulturową i wielostylistyczną, czyniąc ze swych koncertów swoiste show, wspomagane skrupulatnie reżyserowanym nagłośnieniem i oświetleniem. Dla jednych dokonania amerykańskiego ansamblu to szokujące taniej popularności kicz, dla innych – powiew

świeżości w przywiedłej atmosferze sal koncertowych. Można oczywiście z propozycjami „Kronosów” się nie zgadzać i z przymrużeniem oka patrzeć na kwartet smyczkowy, który zatrudnia 10 pracowników administracji, nie sposób im jednak odmówić profesjonalizmu, pomysłowości, naturalności wypowiedzi i zachowania, a wreszcie – konsekwencji w promowaniu muzyki najnowszej).

Kilka lat temu, jeszcze z Jennifer Culp w składzie, kwartet gościł w Łodzi z latynoamerykańskim programem z płyty *Nuevo*; tym razem przywiózł muzykę utrzymaną w znacznie poważniejszym tonie, poruszającą struny medytacji, cierpienia czy nawet tragizmu. Najbardziej sugestywnym w tym względzie, a jednocześnie najbardziej kameralnym w klasycznym rozumieniu dziełem był *Kwartet smyczkowy nr 4 „A Cradle Song”* Hanny Kulenty. Pięknie zabrzmiały również *The Beatitudes* Vladimira Martynova i *Aheym* Bruce’a Dessnera; do kultury żydowskiej, obecnej w kilku punktach programu, czytelnie odwołano się w opracowaniu tradycyjnej pieśni *Ov Horachamim*. Wszystkie te utwory, choć wspomagane nagłośnieniem, można zaliczyć do czystej tradycji „kwartetowej” (w *Błogosławieństwach* Martynova brzmienie zespołu zostało podwójne przez nagranie). Dwie skrajne kompozycje, najbardziej rozbudowane, wymagały sięgnięcia już po szeroki zasób wspomaganie elektroniczne – dźwięk instrumentów był przetwarzany w mikserze, nakładany i odtwarzany, a do muzyki włączono też słó-

wa wypowiedziane przez wykonawców lub zarejestrowane na taśmie. Utwór *Widows & Lovers* Aviyyi Kopelman, dzięki różnicowaniu nastroju w trzech wyraźnie zarysowanych częściach, zbudował intrygujący, trzymający w napięciu nastrój, w *Different Trains* Reicha natomiast minimalistyczne środki wyrazu, mimo ciekawego zamysłu i efektownych pomysłów brzmieniowych, wprowadzały nadmierną monotonię i powtarzalność. Nie osłabiło to jednak entuzjazmu publiczności, który skłonił zespół do zagrania jeszcze czterech bisów. Tu kronosowski eklektyzm przemówił z całą siłą, między innymi przez zestawienie *Egipskiego tanga* z opracowaniem piosenki islandzkiej grupy rockowej Sigur Ros.

I wreszcie 22 września inauguracja cyklu *Muzyka dawna* – za sprawą fantastycznego *Concerto Köln* najefektowniejszy koncert września w Filharmonii Łódzkiej. Program występu kolońskiej orkiestry obejmował kompozycje z kręgu XVIII-wiecznej symfoniki: *Symfonię c-moll* op. 12 nr 4 mało znanego niemieckiego kompozytora Henri-Josepha Rigla, *Koncert na róg D-dur* Hob. VIIId/3 i *Symfonię Es-dur* Hob I/103 „Z werblem na kotłach” Haydna oraz uwerturę do *Wesela Figara* i *Symfonię D-dur* KV 297 „Paryską” Mozarta. Zespół, kierowany na co dzień przez dwoje członków – Martina Sandhoffa i Sylvie Kraus – dostarczył publiczności półtorej godziny znakomitej zabawy. Było w niej

miejsce na poruszającą ekspresję, głęboki liryzm, malarstwo dźwiękowe, trafny dowcip, a nade wszystko wysmakowaną wirtuozerię, w pierwszym rzędzie zespołową. Występująca zgodnie z swą tradycją bez dyrygenta (funkcję moderatora wykonania najczęściej przyjmował koncertmistrz Barry Sargent) 33-osobowa orkiestra grała niczym jeden organizm, doskonale realizując najbardziej wyszukane pomysły interpretacyjne: nagłe zmiany tempa, dynamiki czy różnorodne rodzaje artykulacji. Muzyka klasyków, uznawana często za poukładaną i akurataną w najdrobniejszych szczegółach, iskrzyła się w ich ujęciu zmiennymi barwami, emanowała nasyconym, akasmitnym brzmieniem o świetnie wyrównanych proporcjach między grupą smyczkową i dętą. Każdy z instrumentalistów grał z pełnym zaangażowaniem i polotem, dzięki czemu nawet krótkie solo na kotłach w *Londyńskiej* okazało się skończoną kreacją artystyczną. Duże wrażenie wywarła gra Ulricha Hübnera, wykonawcy partii solowej w *Konercie* Haydna. Choć nie wszystko wypadło, jak chciał solista, Hübner to z pewnością wirtuoz najwyższej klasy.

Jestem przekonany, że występ niemieckiej orkiestry na długo pozostanie w pamięci łódzkich melomanów, potwierdzając dobitnie, jak wiele może zyskać muzyka klasycyzmu, zagrana po mistrzowsku na instrumentach dawnych – intrygująco i efektownie. Życzymy Filharmonii, by tak pięknych

interpretacji dało się tu słyszeć jak najczęściej, także z udziałem własnego zespołu.